

CO PO DEMOKRACJI?

Jakość demokracji europejskich budzi coraz większe zniesmaczenie resztek nieupolitycznionych elit, a tak zwani prości ludzie z jednej strony dość powszechnie krytykują nieuczciwość, niekompetencję i degenerację elit politycznych, z drugiej jednak strony ciągle przedłużają im mandat.

Solidarność polityków stworzyła beznadziejną sytuację, w której każdy wybór jest nieistotny, bo i opcje, i kandydaci różnią się niewiele, a współpracują bardziej z rzekomymi konkurentami niż z elektoratem, który postrzegają jako łatwą do otumanienia tłuszcę.

Dziesięciolecia pokoju i poszerzającej się współpracy europejskiej obniżyły ciśnienie selekcyjne w polityce do zaniedbywalnego poziomu. Degeneracja władz nieustannie rośnie, i wielu myśli, że dłużej nie może już postępować – czy to z racji rosnącej dysfunkcyjności oraz kosztów władzy, czy z powodu społecznego odrzucenia. Pogląd ten po bliższym rozpoznaniu okazuje się raczej złudzeniem. Wewnętrzna ewolucja europejskiej demokracji może być interpretowana jako proces logiczny, naturalny oraz dość stabilny. Może postępować jeszcze bardzo długo, przynajmniej póki zewnętrzne zaburzenia są słabe i nieistotne. Naturalna konsekwencja demokracji, autokracja, jest chyba jeszcze dość odległa.

WŁADZA REPREZENTANTÓW

Kadencyjność władzy demokratycznej wyznacza jej bardzo krótki horyzont działania i niewiele dłuższy horyzont świadomości. Pewną ciągłość zapewniają władzom demokratycznym koegzystujące z nimi oligarchie i merytokracje: eksperckie, oświatowe, medialne, religijne, finansowe, sędziowskie, policyjne, wojskowe, administracyjne i inne. Ich niezależność od demokracji bywa znaczna, a koegzystencja czasem przekształca się w konkurencję.

Jeśli merytokracja jest w jakimkolwiek stopniu zależna od władzy politycznej, to w jej dobrze pojętym interesie leży utrzymywanie członków władz demokratycznych w niewiedzy lub wiedzy fałszywej. To oczywiste, że poseł, radny, minister czy wójt, który rozumie działalność urzędu, staje się dla urzędników groźnym kontrolerem lub niewygodnym przełożonym. To oczywiste, że urzędnicy dążą do osłabienia zagrożenia, a ponieważ na ogół funkcjonują oni dłużej niż poseł,

radny, minister czy wójt i jest ich więcej – zwykle wygrywają. Wyniki wieloletniego kultywowania niekompetencji władz demokratycznych w różnych krajach są oczywiste i dobitne. Można zaryzykować stwierdzenie, że im dojrzała demokracja, tym niższa powinna być jakość reprezentantów.

Zależność władzy politycznej od merytokracji bywa znaczna i zwykle silniejsza od zależności odwrotnej. Merytokracje są w stanie prowadzić wszystkie sprawy władzy pod nieobecność jej przedstawicieli. I czasem prowadzą. Z ich punktu widzenia demokratyczna władza jest łagodną rakowatą naroślą, której lepiej nie usuwać, boby rak mógł zezłościwieć. Rzeczywiście, jakakolwiek zmiana ustroju, a nawet brak raka, czyli anarchia – na ogół zmniejsza bezpieczeństwo merytokracji.

Oligarchie i merytokracje powinny być więc największymi rzecznikami demokracji, i na ogół są. Rzadkie przykłady junt czy teokracji zazwyczaj stanowią przestrożę dla większości merytokratów oraz oligarchów. Dobrze uprawiana demokracja zapewnia im więcej bezpieczeństwa i więcej korzyści.

Władze demokratyczne pochodzą z wyboru, który wymaga kampanii wyborczej. Ponieważ kampanie wyborcze są prowadzone przy użyciu kosztownych mediów, członkowie władz politycznych muszą stać się klientami co najmniej mediów i elit finansowych. Zależność od pozostałych elit merytokratycznych i oligarchicznych jest różna: w państwie religijnym rośnie rola kapłanów, w policyjnym – policjantów, w etatystycznym – biurokratów i tak dalej, jednak potęga świata finansów i mediów zdaje się być uniwersalna.

Każdy, kto miał do czynienia z władzą lub biznesem, wie, jak władza może ułatwić lub utrudnić prawie każdą działalność gospodarczą. Elity gospodarcze są więc żywotnie zainteresowane uzyskaniem wpływu na władzę demokratyczną. I uzyskują go, zwłaszcza sponsorując kampanie wyborcze lub działalność partii i poszczególnych polityków.

Niebem wszystkich elit, do którego idą, gdy osiągną sukces, jest świat finansjery. Tam trafiają najzdolniejsi i najbezwzględniejsi merytokraci, oligarchowie i reprezentanci. Ta elita musi być więc najsilniejsza. I to ona najłatwiej przechwytuje władzę demokratyczną, i czyni z demokracji wygodną fasadę dla swej działalności. W szczególnych przypadkach możliwe jest przechwycenie władzy przez inne elity, lecz tylko przejściowo, bo w miarę sukcesów i one idą do nieba.

MIEJSCE WŁADZY POLITYCZNEJ

W telewizyjnej demokracji siły polityczne nie muszą formułować programów. Jeśli ich celem jest zdobycie władzy, to zbliża ich do tego nie tyle program, co raczej reklama. Jak twierdzą specjaliści, reklamować można wszystko, a skuteczność reklamy zależy nie od cech produktu, lecz od jego prezentacji. Istnieje rozległa wiedza o tym, jak uwodzić i nawet dezinformować nabywcę, nie narażając się na odpowiedzialność. Posiadają ją firmy reklamowe, które lansują napoje, podpaski, proszek do prania, partie i polityków.

Życie uczy, że ani partia, ani polityk nie muszą mieć programu, lecz muszą mieć reklamę. Brak reklamy jest zgubny, brak programu – nie. Posiadanie programu może nawet narażać na niepotrzebne ryzyko. Program mogą krytykować konkurenci, niezyczliwi lub zawistni; program może zobowiązywać do jakichś działań, z których realizacji trzeba się będzie kiedyś rozliczyć; program ogranicza sposób sprawowania władzy, programu się trzeba nauczyć... potem go pamiętać... same z nim kłopoty [1].

Brak programu niesie tylko jedno ryzyko – zarzutu bezprogramowości. Może go jednak podnieść tylko ten, kto ma własny program. Krytyk taki osiąga jednak niewielki zysk, a sam mając program, znacznie przecież ryzykuje. Teoretycznie; bezprogramowość jest optymalną strategią wyborczą;

praktycznie: każdy widzi, jak jest.

Wypiszę teraz trzy tautologie dotyczące władzy politycznej. Nie są one niczymi poglądami, lecz równoważnymi definicjami rozwinięciami. Kto się z nimi nie zgadza, ten albo jest w błędzie, albo używa innego języka.

- Władza realizująca dobry program jest relatywnie dobra.
- Władza realizująca zły program jest relatywnie zła.
- Władza nie realizująca żadnego programu jest relatywnie zbędna.

Władza realizująca dobry program może być równocześnie niesprawna lub skorumpowana. Może być nawet gorsza od władzy realizującej zły program, ale nieskutecznej. Również władza nie realizująca żadnego programu może być lepsza od obu pozostałych. Jeśli jednak porównujemy trzy władze o zbliżonych standardach moralnych i profesjonalnych, to pierwsza jest lepsza od obu pozostałych, a trzecia jest lepsza od drugiej.

Przyjmując za dobrą monetę deklaracje praktycznie wszystkich polityków i wszystkich partii, że chcą dobra, i konstatuując ich powszechną bezprogramowość – dochodzimy do nieuniknionej konkluzji, że władza polityczna jest zbędna. Ruchy Browna nie wymagają sternika. Słońce wschodzi bez hejnalisty.

Jedyną funkcją, którą skutecznie wypełnia władza polityczna, jest blokada miejsca, wypełnienie próżni, w którą mogłaby wejść jeszcze gorsza władza. Władza bezprogramowa czy nawet bezideowa, choć formalnie zbędna, chroni nas przed władzą realizującą zły program: bezideowi politycy strzegą *status quo*. Strzegą i przed złą, i dobrą władzą, ale dobra zdarza się tak rzadko, że można ją w tych rozważaniach bez większego błędu pominąć.

SPRAWNOŚĆ WŁADZY A KORUPCJA

Władza ma na ogół wiele celów: c_1 może być na przykład nadwyżka budżetowa, c_2 – jakość oświaty, c_3 – wygrana wojna, c_4 – powszechna moralność, c_5 – eksterminacja wybranych mniejszości, c_6 – wyzwolenie zwierząt itd. Skuteczność może być dla różnych celów różna, gdyż realizują je specyficzne służby. Z tej samej przyczyny różny może być wpływ korupcji. Porównywanie celów jest utrudnione, gdy pochodzą one z odmiennych i często niewspółmiernych porządków. Można jednak, posiłkując się na przykład teorią wartości von Neumanna – Morgernsterna, względnie jednoznacznie sprowadzić cele do wspólnego miana, a ponieważ z jakimś przybliżeniem należy oczekiwać, że stopnie skuteczności oraz stopnie korupcji będą dla różnych obszarów podobne, możemy uprościć model, wprowadzając jeden współczynnik skuteczności (s) i jeden współczynnik korupcji (k) dla wszystkich celów. Wtedy wartość władzy jest iloczynem sumy celów (C) przez współczynnik sprawności i dopełnienie do 100% współczynnika korupcji:

$$C \cdot s \cdot (1-k).$$

Zauważmy, że kiedy cele się znoszą co do wartości i ich bilans wynosi zero, ani skuteczność, ani korupcja nie mają wpływu na rezultat sprawowania władzy. Mogłoby się wydawać to paradoksalne i wskazywać na błędność modelu, tak jednak nie jest: C oznacza sumę wszystkich celów, a jeśli pozytywne i negatywne bilansują się, to społeczeństwo tyle traci na korupcji czy niesprawności przy realizacji celów pozytywnych, co zyskuje na korupcji albo niesprawności przy realizacji celów negatywnych [2]. To zresztą dość oczywiste: człowiek zręcznie przemieszczający stertę cegieł z jednego miejsca na drugie i z powrotem osiąga rezultat taki sam, jak człowiek niesprawny lub nie robiący (pomijając kwestie entropii).

Słabą stroną omawianego modelu jest konieczność wartościowania celów. Porównywanie kwestii zdrowia lub moralności z równowagą budżetową zawsze jest trochę groteskowe. Ponieważ jednak współcześnie dość powszechnie robi się takie rzeczy przy okazji różnych analiz i projektów, jesteśmy już z tym nieco oswojeni. Dodatkową trudność sprawia możliwość realizowania przez władzę celów ukrytych lub nieświadomych, jak choćby uprzywilejowanie lub upośledzenie jakiejś grupy społecznej. Skoro jednak we współczesnej demokracji większość sił politycznych składa się z podobnie edukowanych i podobnie selekcionowanych ludzi oraz podlega podobnym naciskom – również wkład celów niewerbalizowanych do ich strategii będzie na ogół podobny.

Porównanie różnych władz wymaga więc porównania ich celów, skuteczności i korupcji. Po detalicznej analizie może się okazać, że spośród wszystkich konkurujących o władzę sił, optymalne dla społeczeństwa byłoby preferowanie siły niesprawnej lub skorumpowanej.

Jeśli założyć dodatnią sumę celów, to korupcja jest mniej groźna od niesprawności, gdyż po pierwsze: skorumpowana władza działa dla ludzi, przynajmniej w tym zakresie, w jakim jej płacą, a po drugie: to, co zmarnotrawiono, ginie bezpowrotnie, a to, co skradziono, pozostaje w złych co prawda rękach, ale nie ginie, i w dodatku czasem można to odzyskać.

Okazać się może, że dla elektoratu najbezpieczniejszą strategią wyborczą bywa powierzenie władzy ociężałym umysłowo i skorumpowanym nieudacznikom. I to, że tak się często dzieje, może być raczej wyrazem dojrzałości demokracji niż jej słabości.

REKRUTACJA WŁADZ

Władzę sprawują różne ośrodki. Konstytucyjnie mamy władze ustawodawcze, wykonawcze i sądownicze, praktycznie jeszcze media, armię, finanse, biurokrację oraz parę innych władz. Władza ustawodawcza pochodzi z wyborów powszechnych, władza wykonawcza – z wyborów mniej lub bardziej ograniczonych. Biurokracja i sądownictwo są merytokracjami, stosującymi rekrutację i awans przez kooptację. Podobnie regenerują się media, a raczej dziennikarze, gdyż własność mediów można kupić, a koncesje – jeśli nie kupić, to pozyskać politycznie.

Merytokracja rekrutuje i awansuje takich kandydatów, jakich uważa za cennych. Większość zmian w merytokracji może być dokonywana tylko jej siłami wewnętrznymi. Siły zewnętrzne (władza polityczna, kapitał) mogą wpływać głównie na najwyższe szczeble merytokracji.

Wybory to gra, w której wygraną jest władza, a konkurencja polega na zdobyciu jak największej popularności. Nie można więc się dziwić, że do tak wyłanianej władzy dochodzą osoby biegłe w sztuce podobania się. Test na inteligencję jest częściej, co skądinąd zabawne, stosowany przy wyborach miss niż posłów czy radnych. Oczywiście nie można utrudniać dostępu do władzy osobom nieinteligentnym, bo to nielegalne, skoro wszyscy mają równe prawa wyborcze, a zresztą nie umiemy dobrze mierzyć inteligencji (testy mierzą na pewno sprawność rozwiązywania testów, inne ich znaczenie jest tylko hipotetyczne). Jeśli jednak chcemy mieć władze uczciwe, kompetentne czy sprawne, to powinniśmy kandydatów zmuszać do jakiejś rywalizacji, która bardziej niż plebiscyt popularności preferuje pożądaną cechy.

Konfucjańskie Chiny wyłaniały większość szczebli władzy w drodze powszechnych egzaminów. Podobna, choć nie powszechna, była rekrutacja do brytyjskiej służby kolonialnej. Komu wydawałoby się to mądrzejsze od plebiscytu popularności, ten powinien wiedzieć, że w Chinach egzaminowani pisali poematy i rozprawy na różne eleganckie tematy, a w Wielkiej Brytanii była głównie sprawdzana znajomość martwych języków: łaciny i klasycznej greki [3].

Czy jest możliwe w ramach państwa demokratycznego jakieś uprzywilejowanie w wyborach tych cech kandydatów, jakich oczekivalibyśmy od późniejszej władzy? Media twierdzą, że sposób jest

jeden: kontrola rządzących polityków przez media, a następnie przypominanie ich grzechów w kolejnej kampanii. Zauważmy, że w ten sposób Niemcy nie wybraliby Hitlera... ale dopiero po raz drugi. Przypomnijmy, że wystarczyły mu jedne, i to niezupełnie wygrane, wybory.

Szarzy ludzie głoszą inny sposób: powsadzać do więzień skorumpowanych polityków i zatrudnić ludzi uczciwych. W spustoszonej moralnie społeczności mogłoby jednak zabraknąć więzień. Poza tym – jak wyłaniać uczciwych? A w ogóle, czy na pewno uczciwy polityk byłby mniej szkodliwy od skorumpowanego? Może nic by nie ukradł, ale ileż mógłby zmarnować! Trzeba by więc jednak selekcjonować kandydatów również pod względem kompetencji. Tego już nie robi prokurator.

Lepszym sposobem jest powszechna edukacja i rozwijanie zasobów społecznych, między innymi uczciwości, pracowitości, kooperatywności, odpowiedzialności. Wraz z upowszechnieniem się tych cech rośnie prawdopodobieństwo, że będą je posiadały również osoby zdobywające popularność. Edukacja jest jednak przedsięwzięciem i praco- i czasochłonnym. Efekty są raczej powolne i zrazu mało efektowne, a zatem mają niską wartość polityczną.

Inny sposób wymaga współdziałania mediów, ale nie tyle w piętnowaniu grzechów dotychczasowej władzy, co raczej w lansowaniu pewnych postaw i umiejętności. Kandydatów na posłów wprawdzie nie można poddać obowiązkowym egzaminom czy testom, ale przecież oni sami mogą chcieć się im poddać. Media mogłyby urządzić specjalne teleturnieje dla kandydatów, lansować zwycięzców oraz nagłaśniać fakt unikania testów przez niektórych z nich. Zważywszy na liczbę i jakość zainteresowanych, taki maraton byłby i żmudny, i kosztowny, pewnie żaloszny. Może za to mniej żaloszne i kosztowne byłyby późniejsze efekty prac rządu czy parlamentu?

EDUKACJA POLITYKÓW

Mimo swej mizერი, politycy decydują czasem o dość ważnych sprawach – oczywiście nie samodzielnie, gdyż są zależni nie tylko od mediów, biznesu, biurokracji i innych służb, ale również od ideologii, zarówno tej wielkiej, pochodzącej od myślicieli, jak i tej codziennej, wyrażającej się w stereotypach i przesądach. W czasach fetyszyzowania sondaży opinii publicznej ideologia „ludowa” może mieć nawet decydujący wpływ na postawy polityków i chociaż początkowo wpływa ona raczej na werbalną stronę ich działalności, to człowiekowi względnie normalnemu trudno jest pozostawać w schizofrenicznym rozdzieleniu poglądów i czynów, choćby dlatego, że jest to postawa niewygodna i wymagająca zdwojonego wysiłku. Mądrość i uczciwość działają tu w jednym kierunku z wyrachowaniem i lenistwem: do polityków – nawet wbrew ich własnym zamiarom – stopniowo dociera to, co mówią „na antenie”.

Antropologicznie politykę można wywieść z „porządku dziobania”, czyli ustalania hierarchii w grupie ptaków czy ssaków społecznych. I u zwierząt, i u ludzi jest to zajęcie niezwykle absorbujące. Praktycznie nic, co robi samiec alfa nie pozostaje bez wpływu na jego pozycję, w zasadzie cała jego aktywność musi być podporządkowana podtrzymywaniu władzy, które w hierarchii celów dominuje nawet nad tejsze władzy konsumowaniem. Leniwego lub rozpasanego władcę zwykle zastępuje pretendent pracowity i skoncentrowany bardziej na władzy niż na konsumpcji. Politycy są dlatego ludźmi zwykle bardzo zajętymi. Ci z nich, którzy polityce poświęcają mało czasu i uwagi, szybko z niej odchodzą.

Polityka to obszar międzyludzki. Kogoś trzeba przerażać, komuś imponować, komuś być potrzebnym, przez jednego lekceważonym, przez innego cenionym. Materią polityki jest słowo, i to raczej mówione niż pisane. Działaniem polityka jest osobisty kontakt, choćby pozdrowienie czy uścisk dłoni; rozmowa telefoniczna czy nawet wideofoniczna słabo zastępuje kontakt bezpośredni, przynajmniej w obszarze najważniejszym: spisków i koalicji. Polityk czyta mało, a jeśli, to głównie

biuletyny, nagłówki prasowe, czasem przeglądy prasy. Czytanie ma po prostu mniejszą wartość selekcyjną od pogawędek, przemówień czy narad. Użyteczne dla polityka są te artykuły i książki, które zajmując się plotkami, nowinkami, aktualnościami pozwalają mu wywierać na otoczeniu wrażenie bycia dobrze poinformowanym. Filozofia nie jest w cenie, a nawet może być szkodliwa, gdyż – ujawniona – kształtuje wizerunek intelektualisty, ulegającego dziwnym i niepraktycznym wartościom.

Edukacja ogólna typowego polityka kończy się zwykle wraz z wejściem do polityki. Wtedy zaczyna się edukacja zawodowa, najczęściej terminowanie u jakiegoś patrona lub zajmowanie pozycji w dostępnej grupie interesu. Od tego momentu edukacja ogólna ogranicza się do tych idei, które mają wartość selekcyjną, na przykład pozwalając się zbliżyć do nowych patronów lub nowych środowisk albo poprawić własną pozycję w środowisku dotychczasowym. Idee przechodzą najczęściej z góry w dół drabiny społecznej – tak jak plotki. Prawie w każdym środowisku ktoś ma licencję na mądrość i zdolność szerzenia mód, powiedzonek, przesądów, haseł: inaczej mówiąc – memów. Zazwyczaj ten ktoś jest poznawczo otwarty na autorytet kogoś jeszcze innego, ale czasem zyskuje samodzielną zdolność pozyskiwania idei spoza hierarchii społecznej, na przykład z książek lub z własnych przemyśleń. Często jest to publicysta, który formalnie pozostając poza kręgami władzy, wywiera na nie bardzo ważny wpływ, edukując je.

Wpływ takich autorytetów na rzeczywistość jest trudny do przecenienia. Tworzona przez nie elita jest w znacznym stopniu merytokracyjna i w zasadzie wchodzi się do niej na zasadzie kooptacji (jak do hierarchii kościelnej, urzędniczej czy sędziowskiej), ale równocześnie ważną miarą autorytetu stanowi agresywność memów, zdolność infekowania, epidemiczność. A to już jest talent. Nie każdy go ma. Nie z każdego da się zrobić autorytet.

W autorytety trzeba inwestować. Taniej jest zadbać o jakość wąskiej grupy opiniotwórczej niż o wszystkie partie. Łatwiej wzmocnić paru wartościowych i przekonujących publicystów, niż reedukować całą klasę polityczną.

Ergo: autorytety trzeba szanować. Społeczeństwa ich pozbawione będą rządzone przez nieuków.

TOŻSAMOŚĆ RZĄDZĄCYCH

W analizie stosunków władzy wiele rozjaśnia uwzględnienie czynnika pamięci oraz czasu.

Idealna władza demokratyczna trwa w jednym składzie jedną kadencję. W kolejnej kadencji pojawia się nowy skład, częściowo pokrywający się z dotychczasowym. Ciągłość waha się zwykle między 20 a 80%. Przy niskim współczynniku ciągłości władza demokratyczna traci większość swej pamięci i co kadencję musi od nowa zdobywać potrzebną wiedzę oraz doświadczenie. Przy wysokim współczynniku władza jest stabilna, ale w gruncie rzeczy traci demokratyczny charakter, stając się niejako z definicji oligarchią.

Osobnik sprawujący władzę demokratyczną przez wiele kadencji w nieunikniony sposób traci kontakt ze swym elektoratem. Coraz lepiej rozumie sprawy władzy, coraz słabiej wyborców. Przestaje być reprezentantem. Staje się zawodowym politykiem. Sam fakt ponawiania wyboru nie zmienia jego statusu, medialna kampania jest reżyserowanym spektaklem, w którym kandydat gra rolę główną. On mówi, nie słucha, a dialog z wyborcami jest właściwie zbędny.

Prawdziwie demokratyczna władza, aby nie podlegać oligarchizacji, musiałaby się w sporym stopniu „odświeżać”. Zapewniają to wprost niektóre rozwiązania prawne dla władz bezkadencyjnych, w których okresowo odnawiana jest pewna część składu. W ten sposób utrzymywany jest jakiś kompromis między reprezentatywnością a kompetencją, jak również między oligarchicznym a demokratycznym charakterem władzy. Zazwyczaj jednak kompetencja

władzy demokratycznej jest ograniczona, a jeżeli rośnie, to demokracja szybko przekształca się w oligarchię. Albo kompetencja, albo demokracja.

Rola społeczna jednostki czy grupy może być kształtowana i stabilizowana z różnym „czasem charakterystycznym”. Działania jednostki ogranicza jej zmieniająca się tożsamość, działania rodziny – więź rodzinna, działania rodu czy klanu – krewniacza więź międzypokoleniowa, działania plemienia, stowarzyszenia czy grupy religijnej – trwałość wspólnej tradycji.

Czas charakterystyczny dla jednostki wynosi od kilku do małych kilkudziesięciu lat, dla rodziny nuklearnej większe kilkadziesiąt lat, dla rodów i klanów od stukilkudziesięciu do mniejszych kilkuset lat, dla plemion i narodów może sięgać wielu stuleci.

Planowanie społeczne rzadko może przekraczać okresy, w których podmiot planujący zachowuje swoją tożsamość. Są oczywiście możliwe działania idealistyczne, podejmowane na rzecz abstrakcyjnych przyszłych pokoleń, ale raczej dotyczą one spraw duchowych, a nie bezpośrednio politycznych, a poza tym po zniknięciu planisty znika możliwość korekt i innych działań koniecznych dla realizacji planu. W uproszczeniu można przyjąć, że skuteczne planowanie społeczne może mieć mniej więcej taki horyzont czasowy, jak sam planista.

Z uwagi na przemiany techniczne i cywilizacyjne, planowanie społeczne traci sens w okresach powyżej kilkudziesięciu-stukilkudziesięciu lat. Nieprzewidywalne zmiany w takim czasie potrafią być zbyt wielkie i zaskakujące, aby ktokolwiek mógł je zawczasu uwzględnić. Działanie sprawcze może obejmować tylko te obszary kondycji ludzkiej, których nie obejmują epokowe zmiany, jakąś naturalną i niewymyśloną wspólnotę: rodzinę, ród, klan, plemię, naród. Celami zaś mogą być trwałe atrybuty, nie podlegające modom ani reinterpretacjom: zamożność, siła, pozycja społeczna itd.

Wydaje się zatem, że względnie stabilną i historycznie istotną podmiotowość mogą zachować raczej rody i klany niż stowarzyszenia, partie, państwa czy firmy [4]. Nawet gdyby ich wpływy były w każdym momencie niewielkie, to przez swą trwałość mogłyby się okazać w dłuższych okresach istotne i sprawcze.

Instytucje demokratyczne, jako pozbawione trwałej pamięci, stają się raczej narzędziami władzy. Podmiotami są głównie jednostki, rodziny, klany i plemiona, zdolne do zachowania w dłuższym czasie tożsamości, hołdujące stabilnym wartościom i wyposażone w wolę. Jeśli zatem ktoś naprawdę działa sprawczo, to ma on nie tyle stanowisko, co raczej nazwisko; nie urząd czy partię, lecz bardziej rodzinę.

RZĄDY PRAWA

Władza demokratyczna działa poprzez prawo, stanowione przez władzę ustawodawczą i wdrażane przez władzę wykonawczą. Jak naprawdę działa prawo? Czy potrzeba wielkich regulacji do tego, by zorganizować i powiązać ze sobą pracę rolnika, młynarza i piekarza? Czy przed stworzeniem prawa, księgowości, państwa i podatków nie siano zboża, nie zbierano go, nie mielono na mąkę, a z mąki nie wypiekano chleba? Jaka jest faktyczna rola prawa w życiu ludzi?

Współczesna organizacja grup ludzkich zetytywowała i sformalizowała wiele zachowań oraz interakcji, które kiedyś były naturalne, dlatego wielu ludzi ulega złudzeniu, że to nie oni, ale prawa i przepisy są źródłem stosunków społecznych. Tak oczywiście nie jest. Regulacja może kształtować życie jednostki i społeczeństwa, ale nie jest w stanie go tworzyć. Dzieci się rodzą, a starcy umierają niezależnie od woli parlamentu, ludzie się obdarowują, wymieniają, okradają, współpracują i walczą ze sobą – nie wskutek lektury prawa, lecz ulegając wewnętrznym motywacjom.

Inna sprawa, że rzadko, o ile w ogóle, zdarzają się ludzie tak mądrzy, by umieli zawczasu przewidzieć problemy przyszłe i zapisać instrukcje ich rozwiązania. Tym bardziej nie można takiej

mądrości oczekiwać od prawodawców pochodzących z demokratycznego wyboru. Od profesjonalnych prawników zresztą również nie, gdyż oni są kształceni w rozumieniu prawa, a nie świata, który prawo miałyby regulować.

Prawo i pomniejsze przepisy powstają w takim tempie, że pojedyncza osoba nie jest w stanie nawet na bieżąco czytać wszystkiego, co jest dla niej nakazem lub zakazem czy ma inny ważny wpływ na jej życie. Dlatego w życiu codziennym funkcjonuje wciąż zwyczaj, prawo naturalne – tak, jak przed kodyfikacją. Z tego powodu poszczególne urzędy czy nawet pojedynczy biurokraci mogą stosować własne mutacje prawa, a czasami nawet muszą.

Dwudziestowieczna omnipotencja państwa i groteskowo detaliczne regulacje stworzyły sytuację przeregulowania. Ma to dwie niebezpieczne konsekwencje. Po pierwsze, regulacja bywa iluzją, a działania sterownicze często przynoszą skutki niezamierzone lub nawet odwrotne do planowanych. Społeczeństwo to skomplikowany system, a sterowanie nim wymagałoby wiedzy o wiele klas przewyższającej tę dostępną dzisiaj na uniwersytetach czy w parlamentach. Rosnąca komplikacja prawa jest objawem bezsilności prawodawców lub świadomym tworzeniem sytuacji, w której wszyscy są formalnie winni. W takiej sytuacji system prawny niejako zaprzecza swym celom, i zaczyna służyć do realizacji niczym nie skrępowanej woli władzy: karząc lub nagradzając każdego wskazanego [5].

Po drugie, przesterowanie lub sterowanie nieumiejętne może wywołać rozmaite reakcje: albo samoorganizowanie się społeczeństwa przeciw lub mimo regulacji, albo apatię. Samoorganizacja może mieć charakter odmowy, sprzeciwu lub substytucji. W pierwszych przypadkach społeczeństwo odrzuca niechcianą władzę, w ostatnim – wyręcza władzę niesprawną. Odruchy sprzeciwu można napotkać w obszarach aspiracji grupowych, pacyfizmu, ekologii, religii czy antyglobalizmu. Odruchy substytucji obejmują „podziemne” lub „szare” lecznictwo, ochronę, edukację, opiekę społeczną i inne dziedziny niesprawności państwa.

Apatia jest najgorszą alternatywą. Objęte nią grupy paraliżuje wiara w omnipotencję władzy, wskutek której rezygnują z samodzielnej aktywności, a nawet z wszelkiej inicjatywy w tych obszarach, za które władza odpowiada, chce odpowiadać lub odpowiadać powinna. W przypadku niewydolności władzy zapatyzowaną grupę pochłania próżnia społeczna, a ewentualny przewodnik stada, nawet jeśli się znajdzie, zazwyczaj musi bazować na emocjach niskich.

PRZYWŁASZCZENIE PAŃSTWA

Demokratyczne państwo nie ma szczególnych zabezpieczeń chroniących przed przechwytywaniem urzędów publicznych przez różne grupy interesu, a jest na takie przechwycenie szczególnie podatne. Powstają wskutek tego rakowate regulacje i patologiczne instytucje zabezpieczające interesy wąskich grup, a obciążające ogół. Poszczególne kawałki państwa zaczynają służyć różnym grupom interesu w sposób nieskoordynowany, nieracjonalny i zawsze kosztowny.

Polega to na tym, że jakaś grupa, na przykład kilku uczonych od astrologii, odwołując się oczywiście do dobra publicznego i żywotnych interesów państwa, przeforsowuje prawo, zgodnie z którym każdy pracownik musi mieć sporządzany corocznie horoskop, który uchroni i jego, i pracodawcę, rodzinę, i całe przecież państwo przed skutkami wypadków przy pracy, których to wypadków dzięki horoskopowi będzie można w większości uniknąć. W uzasadnieniu ustawy przedstawiana jest oczywiście skala występujących dotychczas wypadków, szacowane ich koszty społeczne oraz obiecywane korzyści wynikające powszechnego astrologicznego zabezpieczenia pracy.

Dla zagwarantowania jakości tego zabezpieczenia autorzy pomysłu proponują zwykle utworzenie

nowego urzędu, który oczywiście sami obsadzą albo też wskazują istniejącą i kontrolowaną przez siebie izbę lub cech czy inną organizację, która dbać będzie o tę jakość. Instytucja ta będzie pasożytować na astrologach – pobierając od nich opłaty za prawo wykonywania zawodu, na pracownikach i pracodawcach – zmuszając ich finansowania horoskopów, i na kontrolerach państwowych – dokładając im pracy przy nowych kontrolach.

Faktyczne korzyści osiągane przez pomysłodawców, w tym wypadku opłaty astrologów za certyfikację, stanowią zazwyczaj mały procent całych kosztów społecznych, które są nie mniejsze niż sumaryczna cena sporządzanych co rok horoskopów. Tańsza dla państwa byłaby dożywotnia lub nawet dziedziczna renta dla zmyślnych autorów prawa w wysokości dwukrotnych czy nawet pięciokrotnych korzyści, jakie mogliby osiągnąć z certyfikacji – taki haracz za powstrzymanie się od inicjatywy prawodawczej. Innowatorów jest jednak wielu, a opłacanie przez państwo haraczu jest trudne do uzasadnienia, jakoś łatwiej się zgodzić na obowiązkowe szkolenia BHP, badania lekarskie, przeglądy kominiarskie, strażackie, audyty finansowe, społeczne czy ekologiczne, inspekcje, kontrole itp.

Powstawaniu i trwałości patologicznych urządzeń społecznych bardzo sprzyja zabobon profesjonalizmu, zgodnie z którym specjalista, dajmy na to – lekarz jest bardziej kompetentny i właściwy do kształtowania ustroju państwa w zakresie zdrowia niż pacjenci. No to kształtuje, tyle że mając na względzie bardziej potrzeby własne niż pacjentów, czemu i trudno się dziwić.

Mamy w konsekwencji szpitale i przychodnie dla lekarzy, szkoły dla nauczycieli, uczelnie dla uczonych, urzędy dla urzędników, drogi dla drogowców, gazety dla dziennikarzy, rolnictwo dla rolników, prawo dla prawników, rachunkowość dla księgowych, a przy okazji sejm dla posłów i rząd dla ministrów. Ustrój ten oczywiście w małym stopniu służy szeregowym specjalistom czy biurokratom, oni są tylko armią, którą elity ich zawodów prowadzą na bój z innymi elitami o wielkość kawałka państwa do podziału. Przegrani są także oni, nie tylko ich klienci. Są zresztą najczęściej nieświadomymi uczestnikami pasożytnictwa lub podlegają ogłupiającej indoktrynacji w ramach tak zwanej etyki zawodowej.

Trudno już wskazać w państwie obszary niezainfekowane. Tym bardziej trudno znaleźć centrum, które widziałoby całość i jakoś harmonizowało partykularyzmy. Całość jest widoczna, i to rzadko, w finansach publicznych, w których koszty pasożytnictwa są wprawdzie dobrze ukryte, ale suma ich skutków się w końcu ujawnia jako deficyt budżetowy. Drugi obszar, w którym objawy choroby są wyraźne, to spadek jakości życia społeczeństwa, a zwłaszcza jego zamożności, przebijający przez makijaż wskaźników statystycznych.

Pasożytnicze elity mało interesują się państwem i zazwyczaj nie dostrzegają całości jego spraw. To stwarza jakąś nadzieję na przyszłość – że zawłaszczone przez nie państwo stanie się tak kosztowne i dysfunkcyjne, iż będzie musiało albo się otrząsnąć z pasożytów, albo zginąć, a w obliczu takiej perspektywy władza staje się zwykle głucha na argumenty tak zwanych środowisk oraz retorykę elit.

RACHUNKI PUBLICZNE

Państwo funkcjonuje kosztem swych obywateli, obciążając ich podatkami i różnymi obowiązkami. Państwo efektywne z niewielkich obciążeń może uzyskiwać znaczny efekt, państwo nieefektywne – odwrotnie: może pozbawiać poddanych wszystkiego nie osiągając nic. Dramatycznym przykładem niesprawności współczesnego państwa jest system podatkowy, opierający się na progresywnym podatku dochodowym, wielopoziomowym VAT i powszechnych podatkach majątkowych. Jest to system niezwykle kosztowny, gdyż wymaga wszechobecnej ewidencji wszelkich zdarzeń gospodarczych i wielu zdarzeń społecznych, a także składników majątkowych oraz utrzymywania

rozbudowanego aparatu kontroli i przymusu.

Gigantyczne koszty tych ewidencji i komplikacja formuł podatkowych ustawiają wysoko minimalny poziom stawek podatkowych, przy których dochody państwa są niezerowe; suma płaconych wtedy podatków wyznacza koszt systemu podatkowego. Ponieważ rachunki publiczne prowadzone są w sposób nie ujawniający takich kosztów, można je tylko odgadywać. Znane oszacowania wskazują zazwyczaj na poziom kosztów w wysokości około 2/3, co oznacza, że do budżetu dociera zaledwie trzecia część środków, o które system fiskalny zubaża społeczeństwo.

Wynikałoby z tego, że nieefektywność państwa jest dwukrotnie droższa niż jego zachłanność. Z czego to wynika? Ano właśnie z tego, że zazwyczaj nikt nie dostrzega i nie jest w stanie harmonizować całości finansów publicznych, a jeśli ktoś już jest do tego zdolny, to demokracja i tak czyni każdą większą reformę niewykonalną. Bo jeśli byłaby klarowna i jednorazowa, naruszałaby zbyt wiele interesów naraz i nie sposób byłoby uzyskać dla niej większość w parlamencie. Z kolei gdyby reformę wprowadzać skrycie i stopniowo, rozgrywając z księgowymi i twórcami ograniczenie przywilejów rolników, a potem z rolnikami i księgowymi – przywilejów twórców, taki proces musiałby trwać wiele kadencji, zbyt wiele, aby utrzymać ciągłość reform.

Praktycznie za każdym przepisem stoi jakaś grupa, która go lansuje z egoistycznych pobudek – uświadomionych lub nie, wszak wystarczy tylko, że narzuca swój punkt widzenia na kawałek państwa, i że swój interes rozumie lepiej niż interes innych. Prawie każdego przepisu ktoś będzie bronić. I znajdzie dowolnie dużo czasu i sił, aby zniechęcić reformatora do naruszania *status quo* [6]. Przepis nie broniony jest prawdopodobnie nieszkodliwy, a niestety tylko taki łatwo zmienić.

Oszacowana na 1/3 wydajność systemu fiskalnego nie oddaje w pełni skali dramatu. Społeczeństwo obciąża również wiele przepisów нефiskalnych, też mających znaczne konsekwencje finansowe, które już trudno policzyć, a rachunki publiczne w ogóle ich nie dostrzegają. Zwykły znak objazdu, wydłużający drogę miliona samochodów o dwa kilometry, niesie konsekwencje ekonomiczne, gdyż zmusza kierowców do ponoszenia większych kosztów, przede wszystkim paliwa. Mało który przepis nie wywołuje kosztów społecznych. A przepisów przybywa w zastraszającym tempie – wiele tysięcy stron rocznie. I za prawie każdym stoi czyjś interes. Prawie każda ustawa służy zawłaszczeniu jakiegoś kawałka państwa. A ze względu na konieczność obudowy w państwowotwórcze fasady oraz niezbędne kompromisy i koalicje, a także przez zwykłą niezborność umysłową twórców, ustawa musi wielokrotnie bardziej zubożyć społeczeństwo niż wzbogaca wprowadzającą ją grupę interesu.

2/3 wydaje się minimalnym oszacowaniem skali pasożytnictwa i nieudolności elit współczesnej demokracji; faktyczny poziom jest zapewne wyższy. Różne kraje utrzymują to obciążenie albo przerzucając je na inne państwa w ramach gry politycznej i gospodarczej, albo zadłużając się. Zadłużenie obejmuje odległą przeszłość, kiedy by je spłacić sprzedaje się dorobek poprzednich pokoleń, i coraz dalszą przyszłość, kiedy ich spłatą trzeba obciążyć kolejne generacje. Ponieważ jednak suma długów i wierzytelności musi ze swej natury wynosić globalnie zero, zawsze możliwa będzie powszechna kompensacja zadłużenia, ale to chyba dopiero po większych wstrząsach i raczej w sytuacji, kiedy demokracja wyczerpie swój cykl, i w większości krajów zapanują dyktatury czy co najmniej prawa stanu wyjątkowego.

W skrajnym przypadku całkowicie wydajnego systemu fiskalnego społeczeństwo mogłoby ponosić dwukrotnie niższe obciążenie podatkowe, a do państwa docierałoby i tak o połowę więcej niż teraz pieniędzy. Czy taki system jest możliwy? Oczywiście. Wystarczyłoby utrzymać w rękach państwa naturalny monopol na energię i jej nośniki, i pozwolić mu finansować wszystkie swe działania dochodami z nich. Ceny energii wzrosłyby kilkakrotnie, ale pozostałe ceny spadłyby mniej więcej o połowę. Koszty takiego systemu są praktycznie zerowe, bo fiskusa zastąpiłoby dzisiejsi księgowi firm energetycznych.

Kto by na tym stracił? Przejściowo wielu urzędników, księgowych, prawników, doradców podatkowych, kontrolerów, profesorów, publicystów, ludzi z szarej strefy, mafii, policji, sądownictwa, więziennictwa itp. Ale przecież ich potencjał mógłby być włączany do wielu pożytecznych przedsięwzięć, służących gospodarce i jakości życia, a w okresie przejściowym, sięgającym nawet dziesięcioleci, bardziej opłacałoby się wypłacać im odszkodowania w wysokości obecnych dochodów w zamian za pozbawienie swobody psucia państwa.

Wprowadzenie systemu efektywnego jest prawdopodobnie niemożliwe w warunkach demokracji, gdyż trudno go oprawić w retorykę sprawiedliwości społecznej. Taka retoryka, choćby prymitywna i fałszywa, okazuje się w demokracji konieczna. Jakże łatwo jest namówić lokatorów na zwiększenie obciążenia podatkowego kamiecznikom, a jak trudno im wytłumaczyć, że obciążenie to i tak do nich wróci w czynszach, prawda?

PLEBS CZCIGODNY

Jest naturalne, że politycy, których mandat pochodzi z wyboru, muszą kochać lud. Manifestacją tego są kampanie wyborcze, w których kandydaci demonstrują szczere uwielbienie dla plebsu: to on ich przecież obdarza władzą, zamożnością, nietykalnością i innymi sympatycznymi koncesjami. A że plebs jest nie tylko źródłem władzy, ale równocześnie jej ofiarą i żywicielem, wybrani są przepelnieni wdzięcznością, i okazują ją przy każdej oficjalnej okazji.

Zwykle plebs słabo rozumie, że jest grabiony, nękanym czy oszukiwanym przez tych samych ludzi, którym daje mandat, bo przecież go daje ku własnemu uszczęśliwieniu, a nie pogębieniu. Miłość władzy jest natomiast dobrze dostrzegalna. Plebs jest chwalony, czarowany, otaczany troską, naśladowany, politycy prześcigają się w odczytywaniu jego myśli, słowem: plebs jest wielki.

Któżby pozostał długo normalny, doświadczając bezwarunkowej i powszechnej akceptacji każdej wypowiedzianej bzdury, nieomyślności i potęgi, swojej centralnej roli w systemie władzy i porządku świata? Otoczony rojem sługusów, pochlebców i wielbicieli, plebs ponosi wielkie szkody psychiczne, i w miarę rozwoju demokracji musi się stawać coraz głębszy i coraz bardziej zepsuty.

Poświęcenie, powściągliwość, prymat dobra wspólnego – to cnoty obywatelskie spotykane tylko w młodej demokracji; w fazie dojrzałej są wypierane nawet z mitologii jako postawy naiwne i zbędne [7]. Demoralizacja obejmuje, jak już powiedziano, i rządzących, i rządzonych. Jedni i drudzy są współodpowiedzialni za schyłek demokracji, choć kary ponoszą różne.

Ogłupiały lud powierza coraz więcej swoich spraw tym, którzy potrafią mu więcej obiecać. Ponieważ obietnice zwykle znacznie przewyższają własne możliwości ludu, osobista aktywność staje się nieefektywna, i plebs coraz szerzej popada w beczynność. Coraz więcej spraw wymaga zaangażowania władzy, i władza coraz więcej ich na siebie bierze, nie bacząc na sensowność czy wykonalność. W miarę postępów demokracji lud się nieuchronnie atomizuje i apatyzuje, a jego infantylność staje się pożywką dla rozmaitych demagogów, cudotwórców, a z czasem dyktatorów. Naturalną konsekwencją demokracji staje się autokracja, i nastaje ona również z woli wszechmocnego plebsu.

2002/2003

[1] Nie należy mylić programu politycznego, który wymaga jakiejś wiedzy i wizji, ze zbiorem hasel i stereotypów, skleconych z wyników badania opinii publicznej. Te drugie komunikują tylko

jedno: „jestem swój chłop, myślę tak samo, jak wy”.

- [2] Korupcja w SS i Gestapo była dla podbitych przez hitlerowskie państwo narodów dobrodziejstwem, ograniczającym potencjał zagłady.
- [3] Skądinąd, pewien prominentny lord zrzęcznie odpierał zarzuty co do bezużyteczności łaciny i greki w służbie kolonialnej, stwierdzając, iż nie sposób z góry przewidzieć, jakie umiejętności będą kandydatowi potrzebne, ważniejsze więc, czy umie się uczyć, niż co dzisiaj umie, a opanowanie łaciny i greki dowodzi zdolności uczenia się – nawet rzeczy bezużytecznych.
- [4] Pewien problem stwarzają kościoły, których status jest pośredni między wspólnotą rodową a kulturową, i na dobrą sprawę mogą być równie dobrze przypisane do jednej, jak do drugiej grupy.
- [5] Najlepszemu przykładu dostarczają ustawy podatkowe, z jednej strony kryminalizujące nawet kilkakrotne poczęstowanie kogoś cukierkiem, z drugiej – tworzące dla wybranych podatkowe raje.
- [6] Wymownych przykładów dostarcza historia patologicznych i kryminogennych funduszy, agencji i systemów koncesjonowania czy reglamentacji, a zwłaszcza ich trwałość i odporność na wszelkie próby reformy
- [7] Niektórzy propagandyści próbują dowodzić zbędności cnót, przywołując znaną z ekonomii zasadę „niewidzialnej ręki”, zgodnie z którą rynek jest układem samooptymalizującym, gdyż przekłada osobistą chciwość wszystkich uczestników na interes wspólny. Egoizm jest jednak cnotą tylko w grach o sumie zero. Ani życie społeczne, ani zarządzanie dobrami wspólnymi do nich nie należy.

Marek Chlebuś, Co po demokracji?, The Peculiarity of Man, Vol. 8, Warszawa-Kielce 2003

MCH